

1-sze spotkanie z ubóstwem.

Nie pamiętam już z okazji jakiej rocznicy dostałam lalkę Gerde i wózek dla niej. Mogłam mieć wówczas siedem lat. Było to w piękny, roześniany poranek majowy. Miałam na sobie białą sukienkę, której nie zdążyłam jeszcze pobrudzić. Tocząc wózek z lalką przed sobą, szłam po nierównym bruku ulicy Oslo w stronę ogrodu Komendanta.

Przy końcu ulicy spotkałam dwie rówieśnice, które oznajmiły mi, że na łące znajduje się klacz ze źrebiątkiem. Miałam zamiar pokazać im lalkę i wózek, ale zapomniawszy na śmierć o nich, pobiegłam z przyjaciółkami ku łące.

Powiedziały prawdę. Wszystkie dzieci z ulicy były już tam, rozmawiając o cudzie. Ze zdziwieniem przyglądałyśmy się straszliwie chudym nogom i małutkemu kędzierzawemu ogonkowi źrebięcia. A kiedy z lekkiem pod matką zaczęło ssać, gorąco nam się zrobiło i prawie, że straszno, że jesteśmy tak blisko przyrody.

Niebawem przyszła służąca, wzywając nas na podwieczorek i wówczas zauważyłam, że wózek jest próżny, Gerda znikła. Zaczęło się szukanie. Indagowano wszystkie dzieci i zajrzano do wszystkich domów ulicy. Millie i Mała, które były bardzo przedsiębiorcze, zamierzały iść po policję, ale im na to nie pozwolono. Wówczas wzięwszy na siebie rolę policji, poddały bolesnemu badaniu, przy pomocy służącej, Ninę, która nie cieszyła się dobrą opinią, na co Nina zareagowała przenikliwym pisaniem. Matka jej, nadbiegłszy, zagroziła, że uda się natychmiast do rodziców Millie, Mała i moich, opowiedzieć im, czegośmy się dopuściły.

W rezultacie nic to wszystko nie pomogło. Gerda nie znalazła się.

Wylałam, oczywiście, kilka łez, ale nie wzięłam rzeczy tragicznie. Byłam właścicielką lalki od paru godzin załadowanej i nie zdążyłam jeszcze przyzwyczaić się do niej.

Nie miała wreszta prawdziwych włosów, tylko malowane na swej porcelanowej główce i sukienka jej, uszyta przez moją matkę, biała w różowe kwiatki, ozdobiona koronką i jedwabnymi wstążkami — jakkolwiek ładna, była ze zwyczajnego perkalu.

Wobec tego, że pozostawał mi jeszcze wózek, włożyłam doń najpiękniejszą z moich lalek, która musiała leżeć, niestety, ponieważ nie miała ani włosów, ani rąk, ani nóg i wszyscy wysmiewali się z niej.

Byłabym zapomniawsza oddawna prawdopodobnie o klacie Gerdzie, gdyby mi się nie zdarzył wypadek, który wam zaraz opowiem.

W kilka miesięcy potem nasza służąca zabrała mnie z sobą do Balkeby. Nie pamiętam już, co miała tam do roboty; może odwiedzić przyjaciół. Przybyliśmy do jednopiętrowego drewnianego domu, groźnego ruina, którego parter zajęty był przez mleczarnię i magazyn z obuwiami.

Weszliśmy do ostatniego. Szewc w dużym niebieskim fartuchu siedział na stolku. Twarz miał szaro-żółta, jak ciasto i chmurna. Służąca zamieniła z nim parę słów, potem weszliśmy do pokoju obok sklepu, gdzie powietrze było kwaśne i zepsute. Stały tam dwa łóżka z pościelą tak wysoko spiętrzoną, że nie mogłam pojąć, jak ludzie mogli się na nie wdrapać wieczorem. W pokoju zastałyśmy kobietę z dzieckiem u piersi. Miała twarz żółta i ani jednego prawie zęba w ustach.

— Jak się ma Solveig? — zapytała Helena, nasza służąca, po przywitaniu.

Nie pamiętam odpowiedzi, jaką dała kobieta, dość, że po chwili Helena zaprowadziła mnie do sąsiedniej kuchni, gdzie na łóżku, oparta o ścianę, siedziała dziewczynka w moim wieku w różowej nocnej koszulce z twarzą bardzo bladą i blond włosami.

— Czy bardzo jesteś chora? — zapytałam ją, kiedy zostałyśmy same.

— Tak — odparła z pewną dumą w głosie — mam gruźlicę w biodrach; robili mi dwa razy operację w szpitalu — wiesz?

— Nie może być? — odparłam — bołało?

Solveig milczała. Nie wiedząc, co mówić, ruszałam nogami pod krzesłem i ssałam gumę od mego słomianego kapelusza. Złe i ciężkie powietrze przyprawiało mnie o mdłości. Coś w gardle ścisnęło.

— Nie nudzi ci się leżeć w łóżku? — odezwał się wreszcie.

— Tatusz mi dał to — odparła, wyciągając z pod poduszki mały zielenik — a mama lalkę.

Wyjęła ją z pod kołdry. Miała głowę z porcelany z wymalowanymi blond włosami i jakkolwiek była bardzo brudna, poznałam natychmiast białą sukienkę w kwiaty, ozdobioną koronkami i jedwabnymi wstążkami. Była to moja lalka Gerda. Zaczewieniłam się i łzy stanęły mi w oczach. Doznawałam uczucia, jakgdybym to ja popełniła zły czyn. Nie śmiałam wzroku podnieść i odezwać się słowem.

W tej chwili weszła matka Solveig i zobaczyła rumieniec na mojej twarzy. Wyrwijając lalkę z rąk Solveig, odezwała się szorstko:

— Nie trzeba jej pokazywać bogatej dziewczynce, która ma naprawdę ładniejszą lalkę...

Spojrzałam na nią. Wzrok jej błędził po pokoju i wargi zaciskały się dziwnie koło ust bezzębnych. Potem przemówiła innym zupełnie głosem: słodkim, jak miód.

okliwym, szacuniku pełnym, który mnie przejął wstrętem i niewytłumaczoną obawą:

— Napewno masz inne, ładniejsze lalki. Ale biedna Solveig ma tę jedną tylko i uważa ją za bardzo ładną... Kupiłam ją za dwie korony u Wollmana...

Pamiętam później, że zaprosiła mnie do sąsiedniego pokoju na kawę. Daremnie mówiłam, że mama nie pozwala mi pić kawy. Musiałam wypróbować całą filiżankę i zjeść dwa niedobre ciastka, które Helena kupiła po drodze.

Zamosiłam się od płaczu w drodze powrotnej. Nie chciałam powiedzieć dlaczego. Helena tłumaczyła mi, że powinnam się czuć szczęśliwą, mie będąc zmuszoną leżeć jak Solveig w łóżku.

— To dobrze dla ciebie — mówiła — że zobaczyłaś, jak żyją inne dziewczynki.

Płakałam coraz głośniejsze. Wówczas przestraszona, obiecała mi kupić cukierków i zabroniła mówić mamie, że byłam z nią w Balkeby.

Uspokoiliłam się po drodze, rozmyślając nad tem wszystkim, co miałam zrobić dla Solveig. Postanowiłam mianowicie odwiedzić ją, zabawić i mnóstwo jeszcze innych rzeczy. Nie mogłam jednak wprowadzić w czyn zamierzeń moich. Dlatego przede wszystkim, że miałam siedem ocre całego majątku i dlatego powtóre, że mama dowiedziała się całej prawdy, kiedy podczas wieczornego pacierza znowu załamałam się łzami. O lalce jednak nikomu nic nie powiedziałam. Mama pogmiewała się bardzo na Helenę i zabroniła mi raz na zawsze odwiedzać Solveig, która miała gruźlicę w biodrach.

* * *

Było to moje pierwsze spotkanie z ubóstwem. W kilka lat potem, kiedy matka oznajmiła mi pewnego dnia, że i my, z kolei, jesteśmy biedne, przypomniałam sobie uczucie niepokoju, które mnie ogarnęło i palący rumieniec na moich policzkach. Czy będziemy zmuszone oddychać morowem powietrzem, pochylać czoło przed ludźmi i patrzeć na nich wylęknionymi oczami i mówić do nich pokornym, miodowo-słodkim głosem..?

Wyrosłam na pannę, zostałam kobietą. Nauczyłam się poznawać coraz lepiej życie. I ubóstwo również.

Ale najgorsze ubóstwo ujrzałam jasnowidzącym instynktem dziecka — upokorzenie mianowicie, zagrażające ubogim ludziom — w ów dzień, kiedy patrząc na żonę szewca z Balkeby, chowającą lalkę, doznałam uczucia, jakgdybym to ja dopuściła się złego czynu.

Skrót i tłum. Jotsaw.



Rok VI.

Łódź, dnia 10 lutego 1929 roku.

Nr. 6

Łódź w rocznicę 10-lecia komisji kodyfikacyjnej.



Powołany z inicjatywy prezesa Sądu Okręgowego w Łodzi, p. Stefana Beżyńskiego komitet dla uczczenia roku jubileuszowego Komisji Kodyfikacyjnej przy czynnym udziale stałej delegacji zrzeszeń i instytucji prawnych zorganizował w ubiegłym miesiącu trzy odczyty w wielkiej sali posiedzeń Sądu Okręgowego. Powyżej przedstawiciele władz sądowych i państwowych oraz palestry łódzkiej.

Fot. A. Mayer.

TEATRALIA.

Złe się dzieje w operze warszawskiej. — Teatr w Katowicach. — Co grają w Berlinie?

Kronikę dzisiejszą rozpocznę od niewesołej sprawy Opery warszawskiej, której gospodarka wykazuje, niestety, coraz większe moralne i materialne deficyty. Sprawa ta przybiera z roku na rok rozmiary coraz groźniejsze, a prasa stołeczna bije na alarm, domagając się rozumnej interwencji ojców Syreniego Grodu. Parę cyfr i faktów świadczą aż nadto wymownie, że alarmy te są najzupełniej uzasadnione, że faktyczna opera stołeczna, posiadając doskonale pod wieloma względami warunki rozwoju, bnie coraz głębiej w deficyty, obniżając poziom artystyczny i tracąc swe wielkomięskie walory reprezentacyjne.

Repertuar, jak to zewszczęstron podnoszą, odznacza się szczególną bezplanowością i w większości wypadków przystosowywany jest do przygodnych występów gościnych różnych — niezawsze pierwszej wielkości — gwiazd zagranicznych. W ciągu bież. sezonu wystawiono zaledwie trzy zimno przyjęte przez krytykę fachową premjery, z których jedna tylko posiadała poważniejsze wartości artystyczne. Frekwencja jest minimalna, gdyż — przy ogromnych nakładach — wynosi zaledwie ok. 40 proc. przewidywanej. W rezultacie deficyt pieniężny systematycznie wzrasta, dochodząc w r. 1928/29 do 2 i ćwierć milj., zaś na r. 1929/30 przewidywany jest w kwocie prawie trzy miliony. Te ostatnie cyfry uwy puklają administracyjny i artystyczny chaos w operze stołecznej, tak źle świadczący o gospodarce powołanych do zarządu operą organów. Gdyby choroba bezplanowości i nieładu rozwijać się miała w tem samym tempie w dalszym ciągu, za lat parę warszawski Teatr Wielki stanie się najkosztowniejszym teatrem na świecie, bezczeka bez dna, pochłaniająca miliony i miliony grosza podatkowego, wyciskanego z coraz większym trudem z ludności stołecznej. Sprawa ta musi znaleźć jak najszerze i najdokładniejsze oświetlenie w radzie miejskiej, w prasie, w zreszezeniach artystycznych, aby z tej wymiany krytycznych zdań można było wyciągnąć jakiś rezultat zaradczy, zbawienny dla dalszych losów pierwszego teatru stolicy.

Na tle stołeczno - operowego rozprężenia jakże pomyślnie i radośnie przedstawia się działalność teatru w Katowicach, który, prowadzony od roku we własnym zarządzie Tow. Przyjaciół Teatru, pod sprężystym administracyjnym kierownictwem dyrektora M. Sobanińskiego — doskonale spełnia swą rolę teatru regionalnego, budzącego i utrwalaającego polskiego ducha w dzielnicy śląskiej i całym zagłębiu węglowym. Teatr katowicki posiada dwa działy — opery i dramatu, wykazując w obydwu równą dbałość o poziom repertuaru i stronę inscenizacyjną sztuk wystawianych. Należy dodać, że w ciągu kilku dni w miesiącu teatr odwiedza miasta okoliczne, m. in. Bytom i Gliwice po stronie niemieckiej.



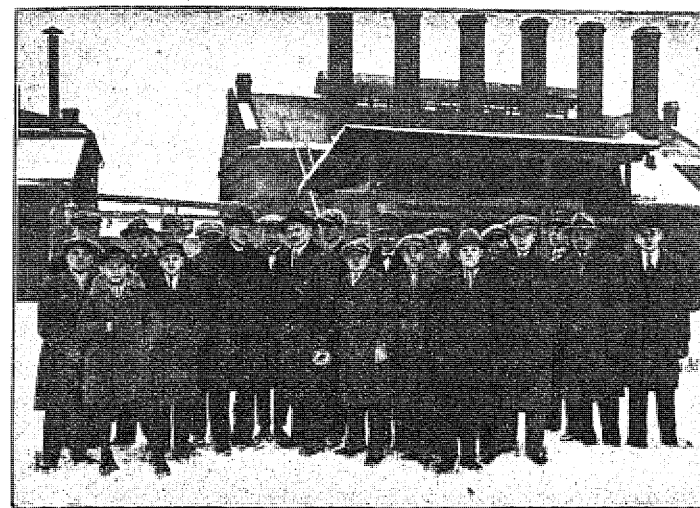
Genjalny twórca, reżyser i dyrektor Teatru Artystycznego w Moskwie, p. Stanisławski.

Dzięki starannie dobranemu repertuarowi i wartości zespołów wykonawczych — teatr katowicki posiada frekwencję, najwyższą niewątpliwie w Polsce: w operze 96 proc., w dramacie 67 proc. W sezonie ubiegłym dano 178 przedstawień w dziale dramatu i komedji (80 tys. widzów) i 203 przedstawienia operowe (107 tys. widzów). Zorganizowano również 40 widowisk dla robotników, wojska i młodzieży po cenach najniższych od 50 gr. do 2 zł.. Działalność ogólna sceny katowickiej i oślagane przez ten teatr rezultaty uzasadniają w zupełności wysokie mniemanie, jakie o naszej śląskiej placówce teatralnej mają nietylko już koła polskie, ale nawet — Niemcy, nie wyłączając artystów zakordonowego „Dreistadttheater“, odwiedzającego w regularnych odstępach czasu Katowice.

Mimo braku wielkich sensacji w tegorocznym sezonie berlińskim, teatry tamtejsze mają przecież na repertuarze kilka sztuk, które wywołują sporo hałasu, a prztem robią kasę. Należy do nich przede wszystkim Martina Lampfa — „Rewolta w domu wychowawczym“, sztuka obrazująca w bardzo mocnych barwach piekło niemieckiego Studzieńca, obłudę i barbarzyństwo t. zw. wychowawców. Sztuka ta grana w „rewolucyjnym“ teatrze Piscatora budzi

rozległe echa i komentarze nietylko artystyczno - teatralnej natury. Oryginalna bardzo jest sztuka Brucknera p. t. „Zbrodniarze“, która daje przekrój duchowości mieszkanców kilku mieszkań w jednym domu berlińskim, duchowości, pełnej bardzo współczesnych instynktów i popędów. Akcja wsparta jest na zasadach scenicznego symultaneizmu, a zdąży aż do... kilku procesów sądowych, które jednak nie wieńczą malejczy tej niezbyt doskonałej, ale ciekawej i dobrze granej sztuki. „Orfeusz“, Jeana Cocteau, będący dowcipną, choć trochę sztuczną trawestacją antycznego mitu, grany jest w jednym z teatrów eksperymentalnych, a — jako ciekawa nowinka paryska, cieszy się wśród pewnych sfer dużym powodzeniem. Największe jednak sukcesy zbiera „Trzygroszowa opera“ Brechta i Weilla, posiadająca dużo charakterystycznego, satyrycznego zacięcia. Opera ta jest to rodzaj starodawnego wodewilu, o fakturze komedji dell'arte, zgrabnie i dowcipnie przystosowanej do gustów współczesnych. Jak słyhać, pierwowzorem tego utworu była t. zw. opera żebracza („The Beggars Opera“), grana w Londynie jeszcze na początku XVIII stulecia.

Delta.



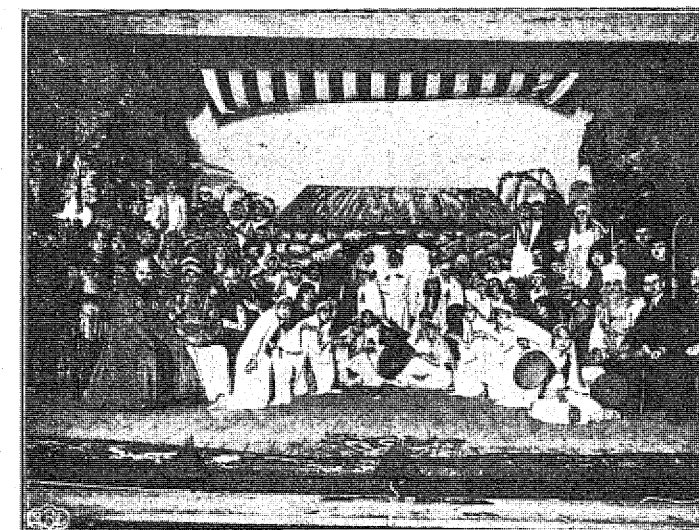
Wycieczka uczniów klasy III-ej Miejskiej Szkoły Zawodowej Doksztalcającej Nr. 12 do Gazowni Miejskiej. Młodzież zapoznana się z urządzeniami gazowni. Wyjaśnienie udzielał wycieczce inż. Gundlach.



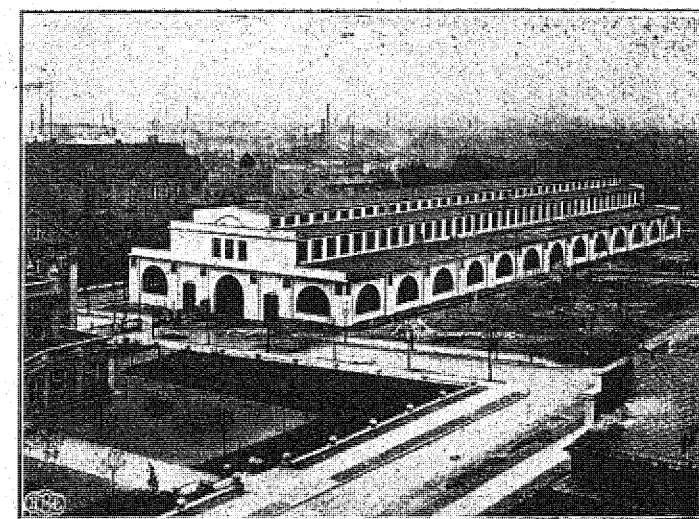
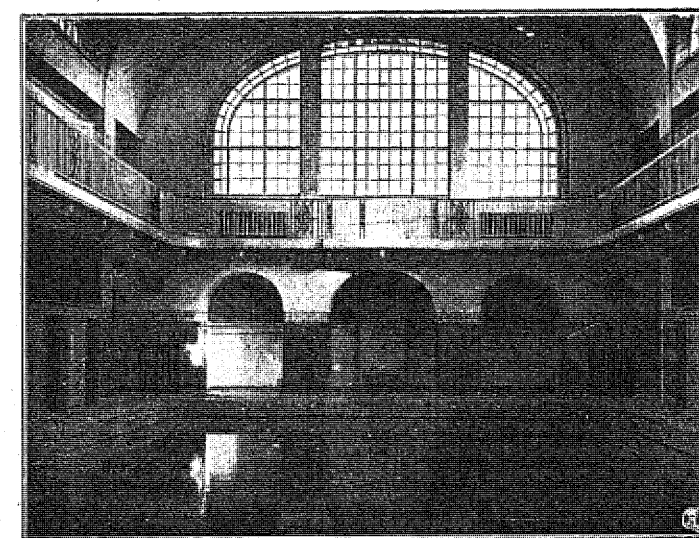
W dniu 3 b. m. odbyła się w Zgierzu uroczystość poświęcenia i otwarcia nowowzniesionego, jedynego w tem mieście zakładu kąpielowego. Na zdjęciach powyższych od strony lewej budynek, w którym mieści się zakład, na prawo zaś wspinała. po europejsku urządzona pływalnia.



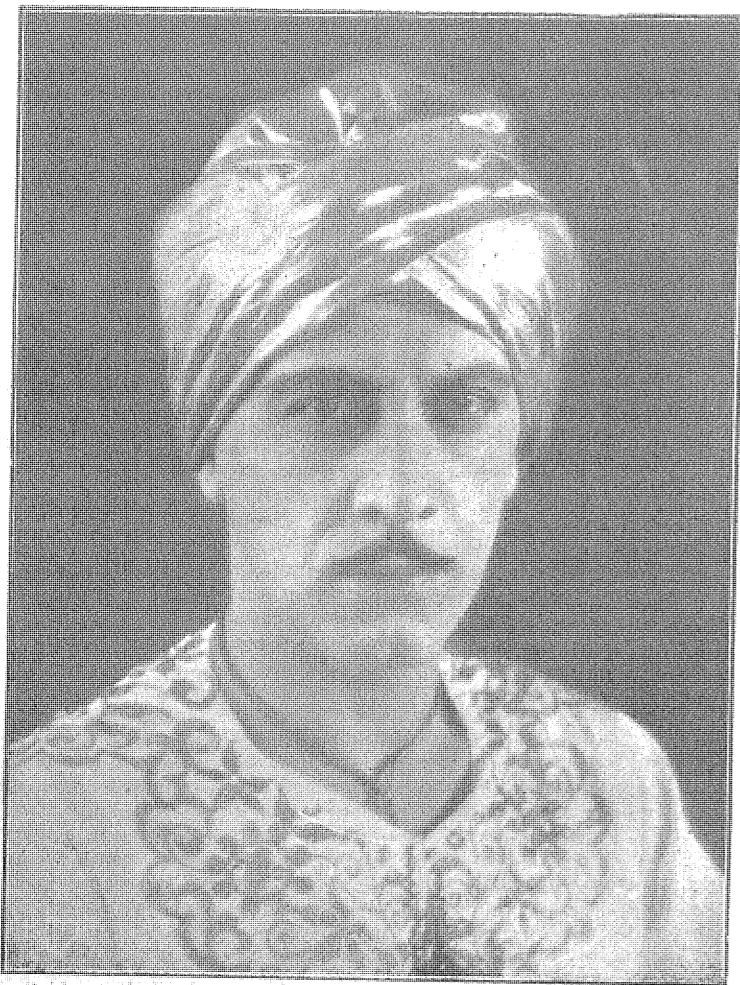
Karnawał w Łodzi. Bał pracowników Kasy Chorych. Grupa uczestników zabawy. Fot. A. Mayer.



„Boże Narodzenie“ — wspaniałe misterjum historyczne, wystawione przez T-wo Śpiewacze im. Moniuszki w Teatrze Popularnym w Łodzi przy czynnym udziale i reżyserji dyr. Józefa Pilarskiego i pomocy dyr. Józefa Wolczyńskiego.



Wielka hala ciężkiego przemysłu na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu całkowicie już wykończona.



Iwan Petrowicz w przedrodnej bajce z 1001-tj nocy p. n. „Szeherazada”.



Mary Bel, artystka komedji francuskiej w filmie „Noc miłosna skazańca”.



Przecudna „gwiazda” ekranu, Greta Garbo w swej nowej kreacji, jako „Boska kobieta”.



John Gilbert, partner tety Garbo w filmie „Anna Karenina” stworzył świetną postać w „Lzaskach” — Tolstoja, których przerobiła na ekran wytwórnia „Metro - Goldwyn - Mayer”.



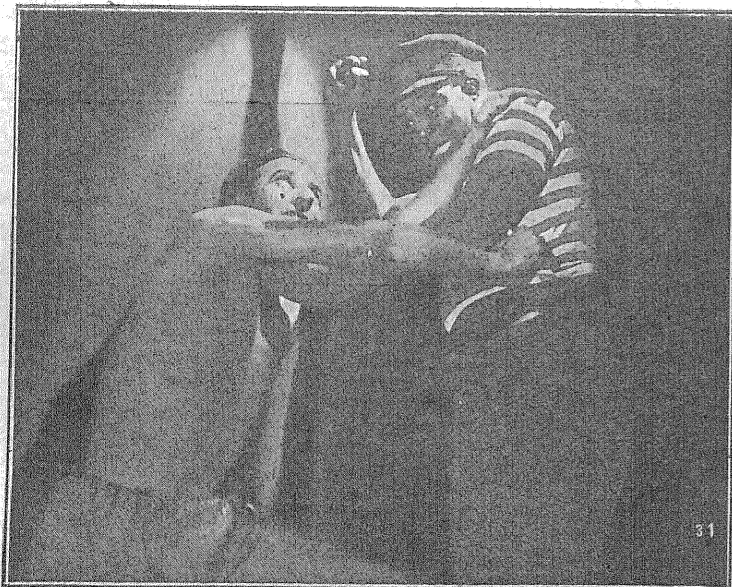
Doskonała dwójka aktorska, Lew Cody i Aileen Pringle ukaza się w filmie wytwórni „Metro - Goldwyn - Mayer” p. n. „Meżczyzna nie grzeszy”.



Fee Malten odniosła wielki sukces we wspaniałym arcydziele sztuki kinematograficznej p. n. „Arlekinada życia”.



Znana powieść „Meżczyźni wola blondynki” została przetransponowana na ekran i w przeróbce filmowej cieszy się zasłużonym powodzeniem.



Emocjonujący fragment z filmu p. n. „Golgota miłości”, wytwórni francuskiej „Franco - film”.



Grupa uczestników akademii szermierczej Wyższej Szkoły Wojskowej w Warszawie.



Jazda na delfinie. Nauka pływania przy pomocy pływaka.



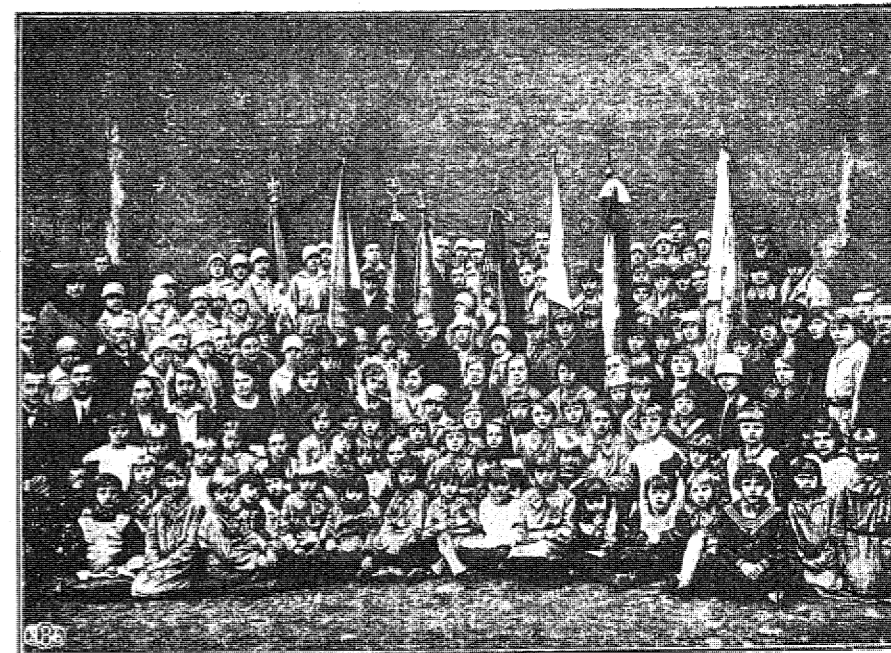
Na śnieżnych Lipkach w Zakopanem.



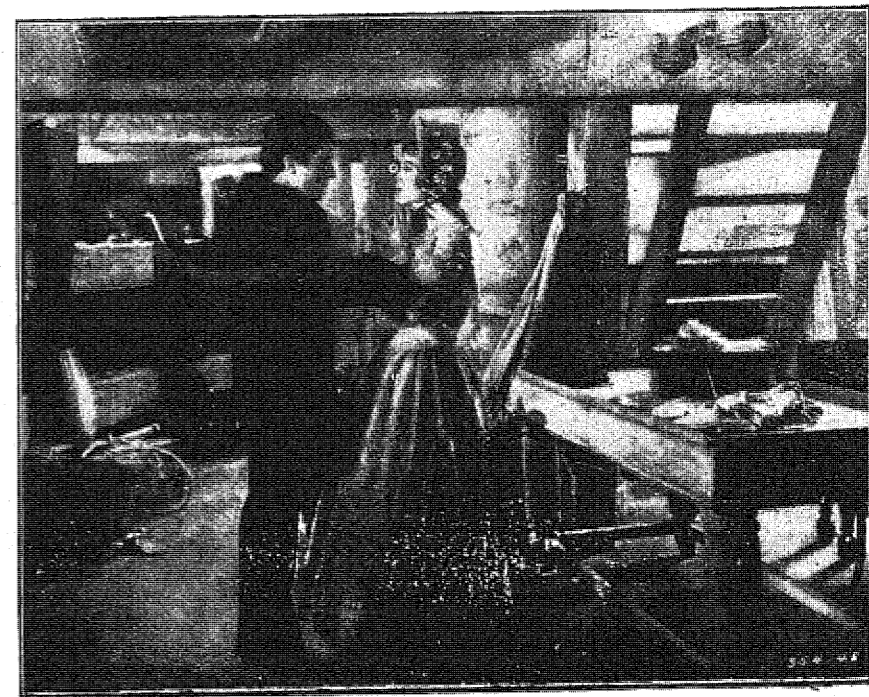
Pułkownik W. — rysunek węglem art. mal. W. Dobrowolskiego.



Esther Ralston, gwiazda amerykańska wytwórni „Paramount”.



Poświęcenie sztandarów harcerskich II-ej drużyny żeńskiej im. Narcyzy Zmichowskiej i II-ej gromady zuchów z delegacją innych drużyn harcerskich.



Ramon Novarro i Jean Crawford w filmie „Jad miłości”.

GASTON CHERAU.

W siódlach miłości.

Tydzień mijał, jak opuścił Biarritz i włócił się po Paryżu oraz jego okolicach, pełen rozpacz i zniechęcenia do życia, gdy nadszedł list od jego teścia i trzeci list zrzędu od Sylwii.

Mr. Destremeau prosił go o natychmian-

stowe przybycie:

„Obawiam się — pisał — są chwile, kiedy zadaję sobie pytanie, czy Sylwia nie traci zmysłów... Nie będę mógł dłużej ukrywać przed nią, że wiem o wszystkim. Zmuszony jestem udawać zdziwienie z powodu twojej długiej nieobecności i mam odrazę do tej komedji...”

Sylwia skreśliła kilkanaście słów tylko:

„Thierry, nie wytrzymam już dłużej! Jeżeli nie możesz mieć litości nade mną, zmiłuj się nad moim ojcem przynajmniej! Przyjedź na jeden dzień przynajmniej, żeby się ojciec niczego nie domyślił. Ja się nie liczę! Zgodzę się na wszystko, co postanowisz, ale oszczędź mego ojca. Pomyśl, że straciwszy ciebie, jego mam tylko na ziemi. Ale ja cię kocham, uwielbiam, ginę bez ciebie, Thierry! Przyjeżdżaj, prędko przy-

jeżdżaj, bo reszta sił gonie i jeśli cię nie zobaczą rychło, gotowa jestem na wszystko...

Przestraszony tym razem, zatelegrafował, że przyjeżdża i wsiadł do dziennego pociągu.

Jego teść był pierwszą osobą, którą ujrzał na dworcu w Biarritz, a który pośpieszył na jego przywitanie z wyciągniętymi rękami i całując go, szepnął doń prędko:

— Dziękuję, Thierry! Ona jest tutaj. Ani słowa przy mnie, nieprawdaż! Ja nie wiem o niczym.

Syłwja przybiegła z drugiego końca pociągu i całując go z umieszczeniem, szepnęła:

— Dziękuję, Thierry! Dziękuję, żeś mi wysłuchał!

Doznał niespodziewanej słodyczy i uśmiechnął się.

— Teraz, skoro jesteś, Thierry — oznajmił M. Destremeau — ja spędzę kilka dni po kawalersku. Odstępuję ci swój pokój i robię wycieczkę do Saint - Sebastien, żeby się przyjrzeć walce byków.

Zjedli razem śniadanie, poczem M. Destremeau opuścił ich.

Kiedy zostali sami, Syłwja złożyła ręce, mówiąc zdecydowanym głosem:

— Pozwól, Thierry, jeszcze raz podziękować sobie. Nie broń mi mówić! Nie wiem, co postanowisz, ale będę ci posłuszną; wola twoja będzie mi rozkazem; straciłam bowiem wszelkie prawa...

— Nie straciłaś bynajmniej prawa — przerwał jej — rozporządzania sobą. Jesteś wolna.

Spojrzała mu w oczy: był tak spokojny, że uczuła zimno koło serca. Schyliła głowę, przyjmując postanowienie, jakie przeczuwała, ale mówiła mimo to, dalej, z uporem:

— Straciłam wszelkie prawa, prócz prawa kochania cię, szanowania i uwielbiania, jako najlepszego, najszlachetniejszego i najdoskonalszego człowieka pod słońcem. Kocham cię, Thierry! Ubóstwiam. Nigdy nie przypuszczałam, że mogę cię tak bez pamięci kochać! Nie schylaj głowy, Thierry... Spójrz na mnie! Kocham cię. Ach, co bym dała za to, abyś mi pozwolił, mnie, która nie mogę już być twoją żoną, oprzeć głowę o twoje ramię. Jestem niegodna ciebie, ale taka nieszczęśliwa, taka słaba... słaba... słaba... i tak potrzebuję oprzeć się o ciebie! Nie chcesz?... Nie, ty nie chcesz! Ty nie chcesz...!

Silumiała łkanie.

Więc trzeba, teraz wyjaśnić sytuację. Bez względu na to, co mię to będzie kosztować, powiedz mi, Thierry, jak zdecydowałaś? Drżę... A jednak nie mogę dłużej w niepewności czekać. Powiedz mi, Thierry?

Odwrocił głowę, podszedł ku oknu i odparł spokojnie:

— Nic nie zdecydowałam, co się ciebie tyczy, bo jeszcze raz powtarzam, żeś wolna. Co do mnie zaś, będę żył pozornie, jak dawniej. Nic z tego co nas dzieli, nie będzie widoczne. Możesz pozostać w dalszym ciągu panią Maritel — jeśli zechcesz... Oto wszystko!

Kiwnęła głową, nie mogąc uwierzyć w jego spokój. Nagle, łamiąc miłoczenie, które z każdą sekundą coraz bardziej dzieliło ich, krzyknęła niemał:

— Więc nigdy nie kochałeś mnie?...!

— Ja? Ja nie kochałem cię? Do szaleństwa cię kochałem, ale tyś zbrukała naszą miłość, zabiłaś ją we mnie i nie już nie jest w stanie jej wskrzesić...

Upadła przed nim na kolana z czołem na posadzce. Uspokoił się po chwili, lecz po to tylko, aby głosem smagającym jak bicz i obojętnym dodać:

— Musisz mię przyjąć takim jakim do ciebie wracam. Nie zmienię mego postanowienia i ty, nie masz już władzy nade mną. Włożymy oboje maskę... dla świata... dla twego ojca... A kiedy będziemy sami, każde z nas będzie postępowało według swego widzimisie.

Widząc ją, leżącą na dywanie, nachylił się ku niej, mówiąc:

— Wstań.

Podniosła się, lecz nie wstała z kłęczek.

— Zasłużyłam na tę karę — rzekła, bijąc się w piersi — cokolwiek jednak zrobisz, ja pozostanę twoją: sercem — bo cię kocham, rozumem — bo cię podziwiam, ciałem... bo jestem napiętnowana przez ciebie, bo moje ciało do ciebie należało i należeć będzie, spalone pożądaniem ciebie. Jeżeli kiedyś spojrzysz prawdzie w oczy, przekonasz się, że płama, którą sobie zrobiłam zatarła się i znikła. Zobaczysz, mówię ci, że zobaczysz!

Spojrzała mu w twarz i przerażona, zawołała:

— Moja boleść nie wzrusza cię? Boże, jakis ty silny, Thierry!...

Ruszył nieznacznie głową, uśmiechnął się zlekka i jednym tchem wyrzucił z piersi:

— Hm! Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia — poczem niewzruszony, przeszedł do swego pokoju, zasunął zasuwkę i... rzuciwszy się na łóżko, z głową wtuloną w poduszkę, płakał, płakał, płakał.

Tak przeżyli dwa dni, jak dwoje obcych sobie ludzi; ona, słodka, tkliwa, nieśmiała, wylekła, on, sztywny, zamknięty w sobie, uprzejmy.

W pewnej chwili zagadnęła go:

— Gdybyś zachorował, Thierry, ciężko, poważnie, czy chciałbyś, abym cię pielęgnowała?

— Dlaczego nie? — odparł krótko.

Podziękowała mu głosem słodkim, nie pytając więcej. Ach, niechby zachorował: czuwałaby przy nim, dotykała go; nikt i nic nie mógłby jej przeskodzić przytulić go do

piersi. Tego właśnie pragnęła: przytulić go do siebie i ułagodzić go...

Nazajutrz, przed ich drzwiami, zatrzymała się i składając ręce, przemówiła, dobitnie i poważnie:

— Thierry?...

— Podniósł dłoń gestem, jakby zagrażając jej drogę.

Opuściła ręce, bezradna, zgarbiona i każde poszło do swego pokójku.

W dniu powrotu M. Destremeau jedli obiad wieczorem na tarasie razem i zachowywali się tak swobodnie, że nikt nie mógłby przypuścić, iż byli trójką aktorów dramatu.

Obiad dobiegał końca.

Thierry wodził oczami wokół, gdy nagle, wzrok jego nabrał tak twardego i zaczepnego wyrazu, że nie wiedząc w kim tkwi jego spojrzenie, Syłwja zrozumiała, iż „tamtam“ był na tarasie obecny.

Spokojnie, bez drżenia, nie starając się ukryć swego gestu, położyła łagodnie dłoń na tej pięści, co się zaciskała, wzrok jej wyszukał spojrzenia, które wyzywało, przyciągnął je, zawisł na niem długo, słodko, bratersko i uśmiechnęła się, przecząc głową.

M. Destremeau, dostrzegłszy przyjaciół, wstał, aby się z nimi przywitać.

„Nieznajomy przeszedł obok Syłwji, patrząc jej w oczy.

Thierry zaledwie zdażył zrobić ruch, kiedy Syłwja wpiła mu się dłonią w ramię tak tkliwie i tak mocno, że się uspokoił natychmiast.

Ciągłe słodko uśmiechnięta, mówiła z naciskiem:

— Nie! Nie! Mój kochanku wspaniały. Ani on, ani żaden inny! Tylko ty, ty jeden ty jedyny! Nie usiłuj...

Ojciec jej wrócił. Ledwie, że powiedziała mu dobranoc, podażyła do swego pokoju, trzymając się kurczowo ramienia Thierry'ego, wprowadzając go z sobą, zwycięska, szczęśliwa...

Otworzyła drzwi, weszła z nim razem, zamknęła je i padając mu do nóg, całując jego kolana, mówiła nawpół przytomnie:

— Dzięki ci, mój Boże! Dzięki za łaskę!

Poczem w umieszczeniu:

— Ach, Thierry! Ty mnie kochasz jeszcze! Kochasz mnie. Moje życie do ciebie należy; odbierz mi je, choćby zaraz, jeśli twoja wola: umrę szczęśliwa, bo wiem, że mnie kochasz zawsze... Ja... kocham cię, jak nigdy! Thierry, Thierry mój słodki, zazdrosny kochanek!

Płakała z wdzięczności, dając mu podnieść się z podłogi. Zaniósł ją na łóżko, jakgdyby zbudzony z okropnego snu i wziął ją w ramiona, powtarzając w ekstazie:

„Tylko ty! Ty jeden! Ty jedyny! Mój do śmielci, zazdrosny kochanek!“

Skrót. i tłum. Jotsaw.



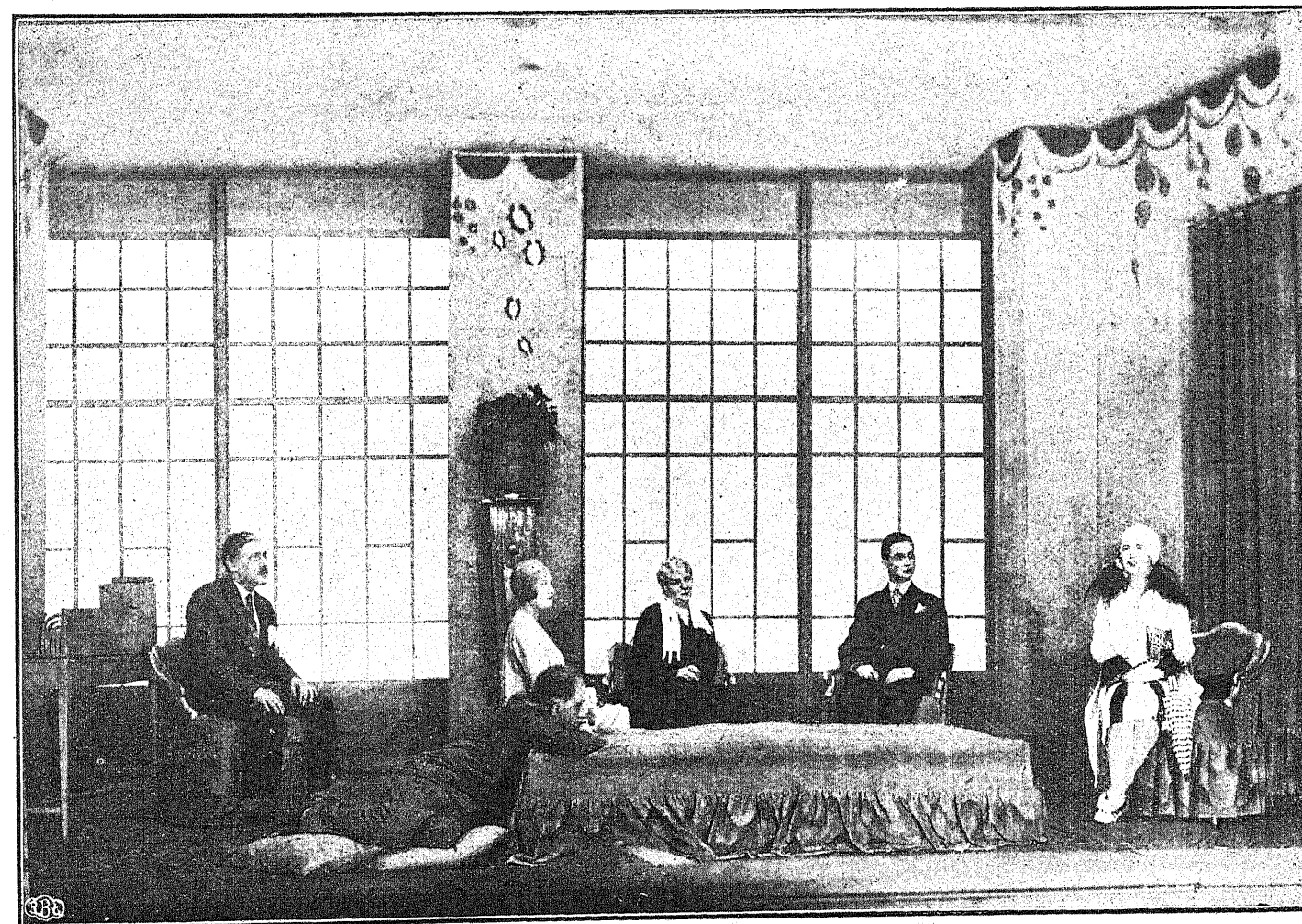
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, dnia 17 lutego 1929 roku.

Nr. 7

„Pygmaljon” — w Teatrze Miejskim.



Jedną z ciekawszych sztuk wystawionych ostatnio przez Teatr Miejski w Łodzi był „Pygmaljon” — komedia B. Shaw'a. Na zdjęciu powyższem widoczny jest jeden z fragmentów tej zajmującej sztuki z pp.: Jarkowska, Węgierko i Dunajewska.